

Nieszczęście spadło na nas 10 II 1940

© ARCHIWUM WSCHODNIE

JOZEF GARBACZ syn Pawła i Marianny urodzony 13 II 1928r
wieś Kocudza, powiat Janów Lubelski, województwo Lublin.
Zamieszkały: wieś Dźwiniaczka, powiat Borszczów woj. Tarnopol.
Deportowany z miejsca zamieszkania wspomina:

Tato w 1937r kupił we wsi Dźwiniaczka gospodarstwo rolne
o powierzchni 17 hektarów ziemi ornej. Wybudował dom mieszkalny
i budynki gospodarcze. Kupił maszyny rolnicze. Życie w rodzinie
układało się pomyślnie.

Nieszczęście spadło na nas 10 II 1940r o godzinie 4-tej.
Do naszego domu zapukali miejscowi policjanci, Ukraińcy, oraz
żołnierze rosyjscy. Gdy weszli do mieszkania, ojca ustawili
pod ścianą i trzymali pod karabinem. Rozkazali nam ubrać się
w ciągu piętnastu minut. Z sobą nic nie pozwalali zabierać.
Mama i najstarsza siostra ubierały młodsze dzieci. Ja sam się
ubrałem. Przez ten czas żołnierze popędzali by szybciej wychodzić
bo przed domem czekają furmani na saniaach.

Wyszliśmy z naszego domu:

Paweł	Garbacz	ur	?	ojciec
Marianna	"	ur	?	matka
Aniela	"	ur	1923	córka Pawła i Marianny
Józef	"	ur	1928	syn " "
				autor wspomnień
Feliks	"	ur	1930	syn Pawła i Marianny
Franciszka	"	ur	1932	córka " "
Paweł	"	ur	1934	syn " "
Władysław	"	ur	1936	" " "

Mama wzięła pościel tylko z jednego łóżka. Na saniach otuliła pościelą najmłodsze dzieci.

Wyjechaliśmy z naszego podwórka. Na drodze furman zatrzymał się. Czekaliśmy, aż zbiorą wszystkich ludzi z osady. Gospodarstw było około trzydzieści.

Na drodze uformował się długi ciąg sań. W końcu ten ponury kulig wyruszył. Zawieźli nas do stacji Iwanie Puste, odległe o osiemnaście kilometrów od naszej miejscowości Dźwiniaczka.

Na dworcu widziałem dużo wagonów towarowych. Niektóre zamknięte - byli już w nich ludzie.

Nas w wagonie towarowym było sześć rodzin. Około czterdzieści osób. Okna zabite deskami, przy drzwiach dziura w podłodze, piecyk pośrodku. Do spania prycze.

Gdy pociąg ruszył ze stacji ~~na~~ myśmy zaśpiewali pieśń: "Pod Twą obronę Ojczyzna na niebie".

Zimno, płacz dzieci, ludzi dorosłych - to obraz pierwszych godzin naszej tułaczki.

Spaliśmy na gołych pryczach, jeden przy drugim. Jak pociąg zatrzymywał się na stacji, do wagonu przychodził żołnierz. Zabierał trzy osoby i szli po posiłek. W wiadrach przynosili: kapuśniak z zepsutej kapusty, cuchnący gulasz, gliniasty czarny chleb i wodę do picia.

W piecyku nie mieliśmy czym palić. Osoby, które wychodziły po posiłek, zbierały również węgiel przy torach. Węgla było mało, zmuszeni byliśmy rozbierać prycze i palić w piecyku.

Po kilku dniach dzieci i dorośli zaczęli chorować na żołądek. Pomocy lekarskiej nie było. W sąsiednim wagonie kilka osób zmarło.

W deskach którymi zabito okna, mężczyźni zrobili dziurki. Widzieliśmy przez nie, leżące przy torach ludzkie zwłoki.

Na większych stacjach widziałem dużo towarowych pociągów zapełnionych ludźmi. Z tych wagonów słyszałem nawoływanie po polsku. Wzajemne zapytania skąd jedziemy. Płacz dzieci, dorosłych. Tak było do 18 III 1940r.

Po drodze od naszego pociągu wagony stopniowo odpinali. Na miejsce ~~z~~ naszego transportu dojechało tylko trzy wagony.

Wysiedliśmy na stacji /nazwy nie pamiętam/ obłast Nowosybirsk. Saniami zawieźli nas do lasu nad jezioro Kobańja.

Przyjechało nas sześć rodzin. Jedna rodzina z naszej osady. Pozostali - nieznani mi w ogóle ludzie.

W dużym drewnianym baraku zamieszkało trzy rodziny. Pośrodku dwa piece z cegły. Paliło się w nich drzewem dzień i noc. W dalszej części baraku znów trzy rodziny.

Spaliśmy na gołych pryczach, okrywali się tym co kto miał na sobie.

Przez pierwsze dwa dni nikt się nami nie interesował. Dostawaliśmy tylko przegotowaną wodę do picia.

Trzeciego dnia dali nam pracującym po pięćdziesiąt dekagramów chleba. Niepracującym dwadzieścia dekagramów chleba. Z naszej rodziny cztery osoby pracowało. Rodzice, siostra Aniela i ja. Przydzielono nam pracę w lesie. Pracowaliśmy przy ścinaniu drzew, korowaniu, porządkowaniu wyrębu, budowaniu wąskotorówki. Pracowaliśmy przy mrozie -40°C . Jeśli mróz był większy do pracy nie wychodziło się. Gdy zbliżała się purga, bili w gong, zwoływali ludzi do baraku.

W zależności od wyrobienia normy zarabialiśmy 75-100rubli miesięcznie.

W lesie na ognisku gotowali zupę. Porcja zupy z makaronem lub kapuśniak kosztowała 1,50 - 2-wa ruble. W południe była przerwa w pracy na pół godziny. Kto miał pieniądze kupował zupę i jadł. Ci co nie mieli, siedzieli przy ognisku - odpoczywali.

Gdy dorośli wychodzili do pracy w lesie, dzieci zostawały same w baraku.

Tak zostawało w baraku niemowle Józef Surtel. Dziecko zmarło na zesłaniu po dwóch miesiącach. Pochowane na pagórku w lesie.

Do pracy dali nam watowane spodnie, kufajki, rękawice, czapkę. Walonki trzeba było sobie kupić.

Wypoczynku po pracy nie mieliśmy. Wszy, pluskwy w baraku gryzły okrutnie. Pluskwy były nawet pod korą w suchych belkach w lesie.

Pod koniec maja topniał śnieg. Wkrótce w lesie były jagody, grzyby. Woda gotowana z grzybami była dla nas teraz pożywieniem.

Na przełomie roku 1941/42r leżałem z bratem Feliksem w szpitalu /w lesie/ około trzy miesiące. Chorowaliśmy na tyfus. Byłem tak chory, że nie poznałem mamy, gdy przyszła nas odwiedzić.

W szpitalu dostawałem lekarstwo w tabletkach. Ciężko chorym dawali biały chleb. Byłem "lubiany" w szpitalu. Często pielęgniarki dawały mi dodatkowy kawałek chleba.

W 1943r pozwolono nam wyjechać z tajgi. Nie zabezpieczyli nam transportu, ani wyżywienia.

Na platformie wywożono drzewo z lasu. Z mamą na takiej platformie pojechaliśmy pięćdziesiąt kilometrów do najbliższego kołchozu. Chodziliśmy po prośbie. Były dni, że nic nie dostaliśmy, ale i tak było, że dostaliśmy dwa lub trzy wiaderka ziemniaków. Mama z ziemniaków upiekła placki na drogę. Wreszcie mogliśmy się stąd wydostać. Wyjechało nas kilka rodzin.

Na platformie pojechaliśmy do Nowosybirsk. Przesiedliśmy się do wagonów towarowych. Jechaliśmy do Karagandy. Z Karagandy do kołchozu. Po dwóch, ~~czterech~~ trzech dniach ponownie do Karagandy. Około miesiąca żyliśmy żebrząc. Znow do wagonów, zawieźli nas do Aszchabad, a następnie do Samarkandy. Siedzieliśmy na dworcu kolejowym bez posiłku. Braliśmy z transportu makuch z nasion bawełny /paszą dla bydła/ i jedliśmy. W okolicy dworca chodziliśmy po prośbie. W Samarkandzie krótko byliśmy w kołchozie. Dostaliśmy przydział maki, ale tu nas nie przyjęli do pracy. Następnie przewieźli nas do Ałma Ata, oraz do Taszkentu. Z Taszkentu do Kosichy /kosichiński rejon/. W Kosichinie jak wysiedliśmy, to mamę i nas pięcioro rodzeństwa zabrali do szpitala z powodu kompletnego wyniszczenia organizmu. Tato i najstarsza siostra Aniela zostali zawiezieni do kołchozu Dzigiergien.

W szpitalu byliśmy około sześć tygodni. Leżeliśmy na jednej sali obok siebie. W tym szpitalu zmarł brat Paweł i Wła-

dysław. Gdzie pochowali zwłoki tego nie wiemy.

Wracałem do zdrowia, zacząłem chodzić do ubikacji. Wtedy, zobaczyłem przez okno na terenie szpitala szopę. W niej składali zwłoki. Widziałem jak gołe zwłoki układali na wóz, tak jak sęgi drzewa. Gdzie wywozili - nie wiem.

Wypisali nas ze szpitala. Mamie dali czworo polskich dzieci w wieku od czterech do ośmiu lat. Nazwisk tych dzieci nie znam. Do szpitala zostały przywiezione ze starszą osobą, która zmarła. Dzieci oddali mamie pod opiekę z zaleceniem, aby w rejonie kosichinśkim odszukać ich rodziców.

Ze szpitala odwieźli nas furmanką do kołchozu odległego o pięć kilometrów. Nazwy kołchozu nie pamiętam.

Przydzielili nam pustą lepiankę. Z kołchozu mama otrzymała mąkę. Gotowała nam zupę z tej mąki, lub piekła placki. Nie pracowała. Co kilka dni chodziłem z mamą do rejonu pytać o adres ojca i siostry Anieli. Pytaliśmy też o adres rodziców dzieci, którymi mama się opiekowała.

Po czterech lub sześciu tygodniach, odnaleźli adres taty i rodziców dzieci.

Mieszkali i pracowali w kołchozie Dzigiergien odległym od Kosichy o pięćdziesiąt kilometrów.

Siostra przyjechała z rodzicami dzieci. Rodzice jak i dzieci cieszyli się wzajemnie.

My dowiedzieliśmy się o nieszczęściu. Tato nasz zmarł. /Odbytnicą wyszły z niego wnętrzności/.

Gdy przyjechaliśmy do kołchozu Dzigiergien siostra pokazała nam miejsce, gdzie pochowała ojca. Od budynku około sto metrów, w stepie. Grób kopała sama. Przyszli jej pomagać Uzbecy. Ojca pochowała bez trumny. Mogiły nie wolno było usypać.

Zamieszkaliśmy w lepiance. Jest nas pięcioro. Kołchoz biedny, pracy nie mamy. Przed nami trudny okres zimy. Dostawaliśmy mąkę z kołchozu, ale w bardzo małych ilościach.

W lecie pracowaliśmy przy pracach polowych, sianokosach. Zbieraliśmy lebiodę, dziki groszek. Nad rzeką rósł dziki czos-

nek. Jedliśmy na surowo - jedyne źródło witamin. Jedliśmy psy, jeże, małe wróbelki.

Ludzie chorowali na szkorbut, malarię. Chininy nie było. Leczyli się wywarem z korzenia pokrzywy. Ale znaleźć w stepie korzeń pokrzywy, to znaleźć szczęście.

W 1943r nad rzeką zmarł nasz brat Feliks. Pochowaliśmy go w tym miejscu gdzie zmarł. Jest nas już tylko czworo.

Siostra zdecydowała abyśmy przenieśli się do innego kołchozu. Z panią Surtel poszły do sowchozu Fogielówka. Pani Surtel pod opieką mamy zostawiła dwoje swoich dzieci.

W Fogielówce siostra otrzymała pracę jako kierownik transportu w piekarni. Pani Surtel pracowała jako sprzątaczką.

Po miesiącu siostra i p. Surtel wróciły po nas. Poszliśmy piechotą przez step, do sowchozu odległego o pięćdziesiąt kilometrów. Nie przydzielono nam tam mieszkania. Sami znaleźliśmy na wpół rozwaloną lepiankę. W tej lepiance zamieszkało dziesięć osób.

Marianna	Garbacz
Aniela	"
Józef	"
Franciszka	"

Pani Surtel z dwójką dzieci, oraz Polka z dwójką dzieci, ale nazwiska jej nie znam.

Dostałem pracę w ogrodnictwie przy plewieniu, zbieraniu jarzyn, owoców.

Zarabiałem około sto rubli. Za te pieniądze można było wykupić przydzielony chleb. Głodujemy nadal. Siostra czasem z piekarni przyniosła garść okruszyn chleba. Tylko wódki tutaj było pod dostatkiem.

Mama nie dostała pracy. Wkrótce zresztą zachorowała na krwawą biegunkę. Zmarła w kołchozie Fogielówka w 1943r. Pochowaliśmy ją na wzgórzu przy drodze, nawet mogiły nie wolno było usypać.

Po śmierci mamy, na krwawą biegunkę zachorowała siostra Aniela i w kilka dni później zmarła. W 1943r zmarli rodzice i sześcioro rodzeństwa.

Kierowniczka kołchozu lubiła mnie. Poszedłem do niej po-

prosiłem, aby pozwoliła zrobić trumnę dla siostry. Zgodziła się. Z rodziny tylko siostra Aniela była pochowana w trumnie, na pagórku w lesie, bez możliwości usypania mogiły. W tym czasie na krwawą biegunkę zmarła pani Surtel.

Mama piętnaście lat. Pod moją opieką zostało troje dzieci: Siostra Franciszka lat 11 i dwoje młodszych dzieci pani Surtel.

Dostałem pracę w zakładzie szewskim. Zarabiałem dobrze. Na targu mogłem kupić maki jęczmiennej, zsiadłe mleko. Wybierałem z gniazd młode wróbelki. Gotowałem i jedliśmy. Myliśmy się w strumyku i ze strumyku brali wodę do picia.

W tym czasie przywieźli Czeceńców. Ludzi tych po przywiezieniu wypuścili w step i nikt się nimi nie interesował. Głodowali, chorowali, umierali.

Zachorowałem na krwawą biegunkę. Uzbecy chcieli mi pomóc. Dawali kumys do picia, wódkę z solą. Nic nie pomogło.

Dowiedziałem się, że w miejscowości Czymkent jest Związek Patriotów Polskich. Mimo choroby, zdecydowałem się tam iść z dziećmi, by ich ratować.

Uzbecy odradzali, mówili abym nie szedł do Czymkentu. Powiedzieli: "Polska też będzie republiką i nie ma co szukać jakiegoś Związku Patriotów Polskich. My ciebie lubimy, zostań z nami".

Ja jednak wyszedłem z dziećmi w step. Uzbecy w tym czasie odwozili baweżnę do punktu. Wzięli nas na furmankę. Podwieźli dosyć daleko. Pozostałą część drogi szliśmy piechotą.

W Czymkencie odnalazłem Związek Patriotów Polskich. Dzieci wzięli do domu dziecka, a mnie do szpitala.

Opieka w szpitalu bardzo dobra. Miałem cztery transfuzje krwi. Powoli wracałem do zdrowia, ale nie chodziłem. Ważyłem dwadzieścia pięć kilogramów. Pielęgniarki wynosiły mnie na rękach na podwórko. Leżałem na powietrzu cały dzień. Przynosili mi posiłki. Z czasem zwiększyli porcje jedzenia. Ze Związku Patriotów Polskich odwiedzali mnie i zawsze przynosili coś do jedzenia.

Po dwóch miesiącach leżenia w szpitalu wstałem o własnych

siłach z łóżka. W tym czasie na salę weszła Komisja Lekarska. Lekarka chwyciła mnie na ręce i całowała z radości, że żyję.

W szpitalu byłem jeszcze dwa miesiące. Cały personel był bardzo dobry. Lekarka - rosyjska żydówka za własne pieniądze kupowała mi oranżadę.

Jak wychodziłem na spacer, to sprzedawczyni z kiosku dawała mi chleb.

Po czterech miesiącach zostałem wypisany ze szpitala. Po mnie przyjechał jeden z wychowanków z domu dziecka.

W domu dziecka radość siostry i dzieci Surdela była wielka. Oni myśleli, że zmarłem.

Warunki mieliśmy bardzo dobre. Wyżywienie obfite, smaczne. Poszedłem do pracy do warsztatu szewsko-ślusarskiego. Naprawiałem obuwie dla dzieci. Robiłem wiadra.

Dyrektorka sierocińca zawiadomiła nas, że skończyła się wojna. Małe dzieci nie rozumiały. Starsze cieszyły się.

Z sierocińca wyjechaliśmy w pierwszych dniach maja 1946r do stacji Czymkent. Dłuższy czas czekaliśmy na dworcu, aż zwieźli dzieci z sierocińca. Wracaliśmy pociągiem osobowym. W czasie podróży na dłuższych postojach na stacji gotowali nam posiłki.

Do Polski przyjechaliśmy 18 VI 1946r. Umieścili nas w Gostyninie. Po miesiącu pobytu zawieźli nas do domu dziecka w Kłodzku ul. Swierczewskiego.9

Warunki w domu dziecka mieliśmy dobre. Dyrektor był dla nas dobry.

We wrześniu 1946r rozpocząłem naukę w szkole przyzakładowej. Myślałem o krewnych w rodzinnych stronach - Kocudza - Janów Lubelski. Napisałem list do stryja i sąsiada. Napisałem również, że z nami jest dwoje dzieci rodziny Surdel.

List odpisała ciocia, bo stryjek już nie żył. Opisała mi, że o naszym nieszczęściu wie cała wieś. Wszyscy bardzo płakali.

Natomiast cioteczna siostra poszła 18 kilometrów i odszukała krewnych dzieci Surdel. Znalazła się siostra ich matki. Skontaktowała się z domem dziecka. Przez sąd otrzymała opiekę

nad dziećmi. Zabrała ich do siebie. Pan Surdzel wrócił z Anglii, zaopiekował się dziećmi.

Ja z siostrą pozostałam w domu dziecka, aż do usamodzielnienia się.

Zacząłem pisać pamiętnik - wspomnienia z zesłania. Opisywałem dokładnie, niemal dzień po dniu jak żyliśmy na zesłaniu. Miałem trzy bruliony zapisane i czwarty rozpoczęty.

W 1947r przyszli z Urzędu Bezpieczeństwa. Wezwali mnie do Dyrektora. Rozkazali oddać bruliony. Chciałem wyjść po pamiętnik, ale "jeden z nich" poszedł ze mną. Z szafki sam zabrał bruliony. Chcieli mnie aresztować. Wybronił mnie dyrektor. Zapewnił ich, że nie będę więcej pisał wspomnień.

Za zgodność: *J. Garbacz Józef* -
Józef Garbacz
ul Hołdu Pruskiego 12/1
72-600 Swinoujście

Swinoujście 27 I 1991

Wspomnienia spisała
Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska